



JEN CHŁOPIEC

OPOWIEŚĆ Z PUSTYNI ARABSKIEJ

NAPISAŁ T. M. NITTMAN.

ILLUSTRACJE ALFR. ZMUDY.

11)

Potęp, lub przebac. Ale jego kochaj za siebie i za mnie. Wart tego! On jeszcze taki młody! To co przeżył — będzie dlań niby senną zmorą. Ale słońce jutra, które dla mnie zgaśnie, rozproszy mu mroki tej nocy z nad Eufratu. Szczęście niech będzie waszym udziałem. Tegn wam życzy, odchodząc w cień niepamięci

Berta Merx“.

Ubrana po męsku, cała skórą okryta, głowa w skórzanej haubie, oczy w rogowych okularach — już miała wychodzić. Wsunęła w kieszeń na piersiach plik papierów, w spodnie brauning i narzuciwszy szeroki płaszcz skierowała się ku drzwiom.

— Holla! A gdzie to? — zawołał Azech podnosząc kotarę.

— Ach, to ty? Bydlę!

— Klniesz, jak prawdziwy pilot — taki przystojny chłopiec!

— Chcę odbyć małą przejażdżkę powietrzną.

— Teraz? Na noc? Co za pomysł? Coś mi to podejrzane!

Mów prawdę!

Schwycił ją przytem za przegub aż jęła.

— Puść mnie! w tej chwili! Boli!

— Nie, nie puszcę aż powiesz mi co to znaczy ta maskarada.

— Dobrze, chcesz prawdy? Słuchaj więc: Zgubiłeś mnie, spodliłeś, oderwałeś od boku kochanka, splamiłeś ręce moje krwią morderczą. A teraz na zatracenie posłałeś tego chłopea! Aresztowali go...

— Nie? Co mówisz? „Verdamt“!...

— Nie bój się! Nie wyda nas! Kocha mnie! Czy ty to rozumiesz? Kocha! On kocha! Rozstrzelają go niechybnie!

— Ach, tak! — z ulgą odetchnął — no to wszystko w porządku! Wiesz, a ty chciałaś żebym ja jechał!?

— Podlec! Otóż właśnie, nie dopuszczę do tego! Dziś jeszcze będę w Amara i uzyskam w sądzie wszystko!

— Nie odważysz się na to!

— Tak myślisz?

— Ależ to niedorzeczność! Gubić się!

— Wszystko jedno!

— A ja?

— Tobie to się od dawna należy!

— Żmijo!

— Precz!!

— Nie tak prędko...

Szedł ku niej z pianą na ustach, a zielone jego oczy świeciły nieśamowicie. Berta cofnęła się aż ku drzwiom.

— Nie waż się przystąpić — krzyknęła dobywając broń.

— Ty do mnie z bronią? Jak śmiesz!

— Śmiem!

Huknął strzał.

Czech zwałił się na podłogę.

A ona, nie oglądając się za siebie, biegła co tchu na lotnisko, szepejąc zbieleńcami wargami:

— Znowu za mną — nowy trup! Straszne! straszne!...

Oszołomiony trunkiem oparł się o wilgotne cegły swej kaźni, gdy wtem, za plecami usłyszał głucho pukanie.

Odwrócił się i nadśledziwał. Pukanie powtórzyło się znowu. Przyłgął uchem do muru. Wtem, ponad nim wysunęła się cegła, obsypując go tynkiem: W wąskim otworze dostrzegł twarz Milana.

— Dobry wieczór, gaspadin!

— Ach to ty mój stary? Nie zbyt dobry!

— Tak panie!

— No i cóż?

— Ot, nic. Nie ujrzą już oczy moje syna. Jutro rano...

— Ależ doprawdy, ja nie wiedziałem nic, nieprzypuszczałem!

— Gaspadin, ja wiem, ja wam wierzę. Wy młady, wy durak!

Wy nieświadom ludzkiej złości. I tak wam przyszło na koniec. W obcej ziemi. Ha, cóż robić? Trudno! Bóg dał życie, Bóg wziął! Taka Jego wola. Mnie staremu — to już czas, ino dziecko rodne przed skonanem raz jeszcze obaczyć, ale wam — roków dużo do

mogły, wy młodzieńki, wam świat śmieje się jeszcze!...

— Nie chcę żyć! Nie chcę żyć! — szeptał Jurek zawzięcie.

— Co mówicie, na Boga!

— Niema Boga! Bóg umarł!

— Za nas, gaspadniku, za nas!

Za nasze grzechy! My go to ubili sami, i codzień znowu krzyżujem w sercu swem! Ot ty nie bluźnij, a jeno pomodlim się do Isusa Krysta!

— Ja już zapomniałem się modlić!

— Tak posłuchaj ty mnie starego! Ukorz się i w piersi uderz w skrusze, aby Pan wejrzał w ciebie miłościwie.

...Ot, co — ty myślisz wciąż o swoim bólu, o sobie tylko, a o drugich ty zabaczył? O maci swej też?

— Mamo! — targnęło nim całym.

— Ona biedniejsza niż ty, ona — zostanie! Nie napiszesz do niej na ostatek? Może prześlą?

— Nie! Nie chcę! Niech nic nie wie o tem, jak haniebną, zgine śmiercią, jako — szpieg!

— Może masz i swój rozum w tem! Twoja rzecz zresztą!

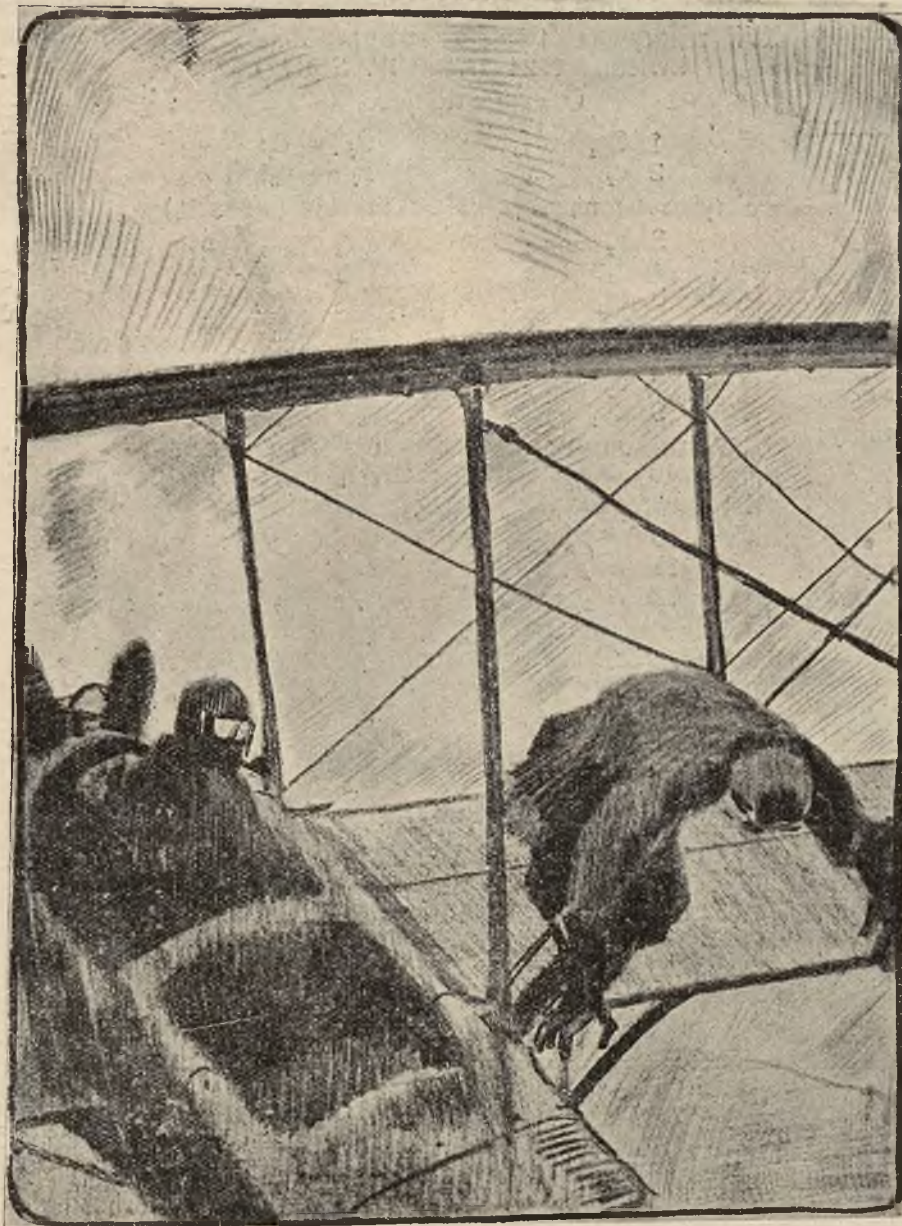
Ucichli obaj..

Jeno gdzieś, z pułapu, ściekała woda, kropla po kropli, głucho uderzając o kamienną posadzkę. I 'jednostajny ten plusk, jak ziarnka piasku w nieubłaganej klepsydrze życia znaczyły minuty — odchodzące.

A każda z tych minut — a każda z tych kropel niezmiernie przybliżała chwilę kresu, nieustrudzenie przypominała, że ostatnia kropla przepychyli czarę...

Plusk — plusk — plusk.

Mijały minuty, mijały godziny...



A obcy, stał na krawędzi, trzymając się stalowych drutów — ogłupiały.